

Polacy żyją stosunkowo krótko, a pracują dużo. Żyjemy wprawdzie statystycznie dłużej niż w latach 90-tych, ale przede wszystkim dlatego, że znacznie zmniejszyła się śmiertelność niemowląt. W dalszym ciągu jest to dobrych kilka lat mniej niż w państwach zachodnich. Ale za to pracujemy dużo – wg badań OECD Polak pracuje średnio 2015 godzin w roku, tj. o ponad 30% więcej niż Holender (1288), Niemiec (1309) czy Irlandczyk (1470). Ba, pracujemy dłużej niż pracowity mieszkaniec Kraju Kwitnącej Wiśni – Japończycy w pracy spędzają statystycznie 1733 godziny rocznie. Ale dla miłośniców nam panujących autorów projektu wydłużenia wieku emerytalnego te liczby nie mają znaczenia. Podobnie jak nie ma znaczenia, że jesteśmy jednym z najmłodszych społeczeństw Europy (statystyczny Polak ma nieco ponad 38 lat), a relacja osób w wieku produkcyjnym do emerytów jest z kolei jedną z najlepszych (ponad 5:1), gdy w starzejących się Niemczech już dziś zaledwie 3 osoby w wieku produkcyjnym przypadają na jednego emeryta. Nie interesuje też polityków, że dramatycznie wyglądamy w tzw. wskaźniku dzietności (1,26) – co sytuuje nas na niechlubnym 209 miejscu na świecie na 222 kraje badane. Nie interesuje ich wzrastające bezrobocie i brak realnych zachęt do zatrudniania osób starszych; niski poziom wynagrodzeń, który wprost przekłada się na zasobność systemu ubezpieczeniowego, dziurawy system ubezpieczeń, który – po równym opodatkowaniu tych samych dochodów – mógłby wzbogacić się o miliardy złotych. To wszystko nie ma znaczenia. Dlaczego? Bo wymagałoby to rzeczywiście systemowego podejścia do kwestii ubezpieczeń w szczególności, ale tak naprawdę – do fundamentalnego pytania o przyszłość. Znacznie łatwiej i prościej jednym podniesieniem ręki zrównać wiek emerytalny, zasłużyć na pochwały płynące z Brukseli i międzynarodowych instytucji finansowych, a do następnych wyborów tzw. elektorat zapomni.

W latach 90-tych krążyła anegdota (?), jak to jeden z europejskich rządów chciał dodatkowo opodatkować globalny koncern tytoniowy na walkę z chorobami powodowanymi przez palenie papierosów. Ów globalny koncern wykonał badania, w których udowodnił, że ilość osób umierających z powodu palenia w znaczący sposób odciąża system emerytalny. Wydaje się, że proponujący reformę idą tym samym tropem. Jak żyć? – Krótko – zdają się odpowiadać. Problem w tym, że bez rozwiązań systemowych wspierających rodzinę, chroniących dobre miejsca pracy, wprowadzających szczelny system składki ubezpieczeniowej itp. za lat 30 może okazać się, że trzeba pracować do 80-tki, a może i dłużej. Jan Pietrzak parę dni temu w czasie naszej pikiety pod Kancelarią Premiera wśród wielu anegdot opowiadał i tę: Przychodzi poseł do sejmu i słyszy: sto lat, sto lat. Pyta się, czyje to urodziny? To nie urodziny, tylko debata o wieku emerytalnym...

I na koniec słów kilka o debacie właśnie. Piątkowa sejmowa debata udowodniła, że obecna

władza nie rozumie i nie chce zrozumieć, na czym polega dialog społeczny. Liczy się dla niej wyłącznie polityczny kontrakt, który umożliwi mechaniczne przegłosowanie opozycji i medialny pijar, który zmieni głupotę w mądrość. Przez ostatnie tygodnie żadna poważna rozmowa z partnerami społecznymi nie została podjęta. A w Sejmie prominentni przedstawiciele rządzącej koalicji nie wahali się używać demagogii i manipulacji. Nie wahali się też odmówić Polakom prawa do skorzystania z konstytucyjnego uprawnienia do referendum. Referendum tym bardziej uzasadnionego, że przecież w odbywającej się kilka miesięcy temu wyborczej kampanii nie padło jedno słowo o podniesieniu wieku emerytalnego. Ba, niektórzy zaklinali się, że nie jest to niezbędne. Myślę, że warto poświęcić kilka chwil na przeczytanie tej debaty i wyciągnięcie wniosków - i dziś, i przed najbliższymi wyborami.

Jacek Rybicki